



Bolesław Prus - Lalka, część 4.

Niezbyt dobrze czuje się w tym towarzystwie nasz bohater. Handlarz w towarzystwie arystokracji – to, przede wszystkim, nie jest dobrze widziane.

A propos widzenia. Wokulski widzi pannę Izabelę w towarzystwie mężczyzny, którego dzień wcześniej zauważył w kościele. Psuje mu to nastrój.

Gdy sprowadzono mu powóz, zrazu chciał wsiąść, lecz rozmyślił się.

- Wracaj, bracie, do domu - rzekł do furmana dając mu na piwo.

Powóz odjechał ku miastu. Wokulski zmieszał się z przechodniami i poszedł w stronę Ujazdowskiego placu. Szedł z wolna i przypatrywał się jadącym. Wielu spośród nich znał osobiście. Oto rymarz, który dostarcza mu wyrobów skórzanych, jedzie na spacer z żoną, grubą jak beczka cukru, i wcale ładną córką, z którą chciano go swatać. Oto syn rzeźnika, który do sklepu, niegdyś Hopfera, dostarczał wędlin. Oto bogaty cieśla z liczną rodziną. Wdowa po dystylatorze, również mająca duży majątek i również gotowa oddać rękę Wokulskiemu. Tu garbarz, tam dwaj subiekci bławatni, dalej krawiec męski, mularz, jubiler, piekarz, a oto - jego współzawodnik, kupiec galanterijny, w zwykłej dorożce.

Większa ich część nie widziała Wokulskiego, niektórzy jednak spostrzegli go i kłaniali mu się; lecz byli i tacy, którzy spostrzegli go nie kłaniali się, a nawet uśmiechali się złośliwie. Z całego mnóstwa tych kupców, przemysłowców i rzemieślników, równych mu stanowiskiem, niekiedy bogatszych od niego i dawniej znanych w Warszawie, on tylko jeden był dziś na święconym u hrabiny. Żaden z tamtych, on tylko jeden!...

"Mam nieprawdopodobne szczęście - myślał. - W pół roku zrobiłem majątek krociowy, za parę lat mogę mieć milion... Nawet prędejszy... Dziś już mam wstęp na salony, a za rok?... Niektórym z tych, co przed chwilą ocierali się o mnie, przed siedemnastu laty mogłem usługiwać w sklepie, a nie usługiwałem chyba dlatego, że żaden nie wstąpiłby tam. Z komórki przy sklepie do buduaru hrabiny, co za skok!... Czy aby ja nie za prędko awansuję?" - dodał z tajemną trwogą w sercu.

Był już na rozległym placu Ujazdowskim, w którego południowej części znajdowały się zabawy ludowe. Pomieszane dźwięki katarynek, odgłosy trąb i zgiew kilkunastu tysięcznego tłumu ogarniał go jak fala

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

nadpływającej powodzi. Widział jak na dłoni długi szereg huštawek, kołyszących się w prawo i w lewo niby ogromne wahadła o potężnym rozmachu. Potem drugi szereg - szybko kręcących się namiotów, z dachami w różnokolorowe pasy. Potem trzeci szereg - bud zielonych, czerwonych i żółtych, gdzie przy wejściu jaśniały potworne malowidła, a na dachu ukazywali się jaskrawo odziani pajace albo olbrzymie lalki. A we środku placu - dwa wysokie słupy, na które teraz właśnie wspinali się amatorowie frakowych garniturów i kilkurublowych zegarków.

Wśród tych wszystkich czasowych a brudnych budynków roił się rozbawiony tłum.

Wokulskiemu przypomniały się lata dziecinne. Jakże mu wtedy, wygłodzonemu, smakowała bułka i serdelek! Jak wyobrażał sobie siadłszy na konia w karuzeli, że jest wielkim wojownikiem! Jak szalonego doznawał upojenia wylatując do góry na huštawce! Co to była za rozkosz pomyśleć, że dziś nic nie robi i jutro nic nie będzie robił - za cały rok. A z czym da się porównać ta pewność, że dziś położy się spać o dziesiątej i jutro, gdyby chciał, wstanie także o dziesiątej przeleżawszy dwanaście godzin z rzędu!

"I to ja byłem, ja?... - mówił do siebie zdumiony. - Mnie tak cieszyły rzeczy, które w tej chwili tylko wstręt budzą?... Tyle tysięcy otacza mnie rozradowanych biedaków, a ja, bogacz przy nich, cóż mam?... Niepokój i nudy, nudy i niepokój... Właśnie kiedy mógłbym posiadać to, co kiedyś było moim marzeniem, nie mam nic, bo dawne pragnienia wygasły. A tak wierzyłem w swoje wyjątkowe szczęście!..."

W tej chwili potężny krzyk wydarł się z tłumu. Wokulski ocknął się i na szczycie słupa zobaczył jakąś ludzką figurę.

"Aha, triumfator!" - rzekł do siebie Wokulski, ledwie trzymając się na nogach pod naciskiem tłumu, który biegł, klaskał, wiwatował, wskazywał palcami bohatera, pytał o jego nazwisko. Zdawało się, że zdobywcę frakowego garnituru na rękach zanoszą do miasta, wtem - zapadł ostygił. Ludzie biegli wolniej, nawet zatrzymywali się, okrzyki cichły, wreszcie zupełnie umilkły. Chwilowy triumfator zsunął się ze szczytu i w parę minut zapomniano o nim.

"Przestroga dla mnie?..." - szepnął Wokulski ocierając pot z czoła.

Plac i rozbawione tłumy obmierzły mu do reszty. Zawrócił do miasta.

Środkiem Alei wciąż toczyły się dorożki i powozy. W jednym Wokulski zobaczył bładoniebieską suknię.

"Panna Izabela?..."

Serce poczęło mu bić gwałtownie.

"Nie, nie ona."

O paręset kroków dalej spostrzegł jakąś piękną twarz kobietą i dystygowane ruchy.

"Ona?... Nie. Skądżeby wreszcie ona?"

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

I tak szedł przez całe Aleje, plac Aleksandra, przez Nowy Świat ciągle upatrując kogoś i ciągle doznając zawodu.

"Więc to jest moje szczęście?... Kto wie, czy śmierć jest takim złem, jak wyobrażają sobie ludzie."

I pierwszy raz uczuł tęsknotę do twardego, nieprzespanego snu, którego nie niepokoiłyby żadne pragnienia, nawet żadne nadzieje.

W tym samym czasie panna Izabela, wróciwszy od ciotki do domu, prawie z przedpokoju zawołała do panny Florentyny:

- Wiesz?... był na przyjęciu...

- Kto?

- No ten, Wokulski...

- Dlaczegoż być nie miał, skoro go zaproszono - odparła panna Florentyna.

- Ależ to zuchwalstwo... Ależ to niesłychane... i jeszcze, wyobraź sobie, ciotka jest nim oczarowana, księżę nieledwie mu się narzuca, a wszyscy chórem uważają go za jakąś znakomitość... I ty nic na to?...

Panna Florentyna uśmiechnęła się smutnie.

- Znam to. Bohater sezonu. W zimie był takim pan Kazimierz, a przed kilkunastu laty nawet... ja - dodała cicho.

- Ależ uważaj, kim on jest?... Kupiec... kupiec...

- Moja Belu - odpowiedziała panna Florentyna - pamiętam sezony, kiedy nasz świat zachwycał się nawet cyrkowcami. Przejdzie i to.

- Boję się tego człowieka - szepnęła panna Izabela.

Tomasz Łęcki zabiera Wokulskiego na zebranie spółki jawnej, gdzie pomysł Stanisława o sprowadzaniu towarów z Rosji, spotyka się z entuzjastycznym przyjęciem.

Ledwie odszedł, pochwycił Wokulskiego adwokat.

- Winszuję panu zupełnego triumfu - rzekł półgłosem. - Księżę formalnie zakochany w panu, obaj hrabiowie i baron toż samo... Oryginały to są, jak pan widział, ale ludzie dobrych chęci... Chcieliby coś robić, mają nawet rozum i ukształcenie, ale... energii brak!... Choroba woli, panie: cała klasa jest nią dotknięta... Wszystko mają: pieniądze,

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl

tytuły, poważanie, nawet powodzenie u kobiet, więc niczego nie pragną. Bez tej zaś sprężyny, panie Wokulski, muszą być narzędziem w ręku ludzi nowych i ambitnych... My, panie, my jeszcze wielu rzeczy pragniemy - dodał ciszej. - Ich szczęście, że trafili na nas...

Na zebraniu poznaje młodego człowieka, który podszedł do Łęckiej w kościele w czasie kwesty. Jest to Julian Ochocki – naukowiec. Panowie idą razem na spacer. Okazuje się, że wynalazcy zależy nie na sercu Izabeli, ale na maszynie latającej...

Miejsce na Twoją reklamę
info: reklama@lykwiedzy.pl